

Ewa Kubiak

Egzotarium

Ja przecież dobrze znam te okolice, nie wiem dlaczego się zgubiłyśmy. Idziemy wzdłuż torów, a raczej nimi, pomiędzy spalonymi na błysk wstęgami. To są już podmiejskie chaszczce. Zatrzymujemy się w jakimś barze żeby kupić papierosy. Jesteśmy chyba przy drodze wylotowej z miasta. Aż tak. Knajpa nazywa się Capri i jest szarym klockiem z drewnianym patio przed wejściem. Właściwie są to drewniane palety na jakie załadowuje się towar, skrzynki z piwem i takie różne. Na tym patio stoją plastikowe stoły i ławki, słońce już zachodzi, ale jest przyćmione przez kurz - jak zawsze o tej porze roku - który wzniecają samochody. Powinni tu wylać asfalt. Do krzywej sosny, słaniającej nad knajpę grynszpanowy wierzchołek w miłosiernym geście rzucania cienia, przytroczona jest antena do odbioru telewizji. Wisi wysoko, za wysoko i jest tak brudna, że odbiór jest zakłócony.

Dalej niewiele pamiętam, bo jednak dużo wypiliśmy, a następne co kojarzę, to już moja stara podstawówka, gdzie akurat odbywa się komers, bo jest początek czerwca. Komers to taka dyskoteka na zakończenie nauki, nie wiedziałam, że to się tak nazywa, dopiero P. mi kiedyś powiedział. W budynku nie ma wielu uczniów, może impreza już się kończy, a może nikomu się w ogóle nie chciało na nią przyjść, to pewnie obciach w dzisiejszych czasach. Stoimy na dachu sali gimnastycznej i zaglądamy do budynku szkoły przez ogromną dziurę w murze, właściwie brakuje większości ściany, duży remont ma tu miejsce, w środku musi bardzo wiać. Przez tę dziurę widać całe dwa piętra; na ludzi z pierwszego patrzymy z góry, niektórzy się na nas gapią, pewnie zdziwieni jak tam weszliśmy. Oni może też by chcieli, ale to tylko ja wiem jak, bo spędziłam tyle czasu w tej szkole, ile oni razem wzięci nie mają nawet lat. Tych z drugiego piętra widzimy tylko od kolan w dół. Widać też czarną gardziel schodów, odrapany szyb prowadzący głęboko do kotłowni i dalej tę granicę między szkołą, a tym co jest chyba szpitalem. Oficjalnie chyba, bo ja to akurat wiem na pewno. No więc lamperia szkolna, taka brązowa nagle się urywa i zaczyna się seledynowo-zielona. Szpitalna. To jest ta granica, tam wszyscy chodzili palić papierosy. Ja nie chodziłam, bo nie umiałam się zaciągać chyba aż do szóstej klasy i bałam się, że jak się wyda, to włożą mi głowę do klozetu i spuszczą wodę. Śniło mi się wtedy czasem, że palę, ale się duszę i jest straszny wstyd, że oni tam palą na granicy, a ja ją przekraczam i leżę w tym szpitalu na oddziale dałnów. Bałam się papierosów, to mi tak urosło w głowie, jakbym miała podpalić całą szkołę a nie tylko jednego szluga. Zapaliłam kiedyś w końcu w sylwestra z Natalią i okazało się, że naprawdę nieźle to robię, że jestem w tym dobra, od razu zaciągnęłam się głęboko do dna płuc i nawet się nie zakrztusiłam, nie jak inne dziewczyny co tylko ssały filtr i udawały że akurat mają kaszel.

No, ale ten szpital w szkole, to nie jest normalne i oficjalnie go tam wcale nie ma. Cały budynek jest trochę jak labirynt, niektóre sale i korytarze są pochowane. Drzwi koło toalet dziewczyn, które można by uznać najwyżej za schowek na kubły i szczotki, jest na przykład przejściem na zielony, przeszklony dziedziniec. To jest główne wejście do „szpitala”. Wiem o

tym, chociaż schowki na mopy są zawsze zamknięte. Architektura jest tutaj tak gęsta, że większość pomieszczeń nie ma nawet okien, bo otoczona jest innymi pomieszczeniami, a wszystko to poprzetykane nitkami korytarzy też najczęściej bezokiennymi, że prawie i one stają się po prostu kolejnymi długimi i wąskimi pokojami z łańcuchem drzwi.

Gdyby iść w stronę przeciwną od szpitala, dojdzie się do wielkiego okna, jednego z nielicznych w budynku, które we dnie słoneczne i letnie, około godziny szesnastej wybucha pomarańczowo-żółtym ciepłem. Pod tym oknem zgromadzone stoją wszystkie szkolne rośliny; zuchwałe swoim mięsem rododendrony, które ciekną na zielono, jeśli wydrapać na nich kluczem swoje imię, zahukane paprotki spływające cherlawym liściem ze skrzynek nad pokojem nauczycielskim oraz jedyny kaktus, zupełnie bezgigielny, którego wszystkie kolce chłopcy już dawno powtykali w dorastające miękkości dziewczynskich pośladków.

Obok pokoju nauczycielskiego są jeszcze jedne drzwi, prawie o połowę niższe i niepozorne, za którymi piętrzą się krzywe stopnie schodów prowadzących do przyległej kamienicy. Trzeba się nisko schylić, żeby na nie wejść i młócić po ciemku rękoma, ponieważ tutaj słońce z korytarza już nie dociera, a nie ma też światła elektrycznego. Tym przejściem można się dostać do mieszkania mojego kolegi P., którego nie widziałam od mojego komersu, czyli od dawna, prawie nie pamiętam jak wygląda, ale pamiętam jego odrapane drzwi, brązowe jak tabliczka mlecznej czekolady, apetyczne, z przedzierającym się spod spodu poprzednim kolorem, też brązowym, ale jaśniejszym, bardziej jak orzechy laskowe.

Poszliśmy go odwiedzić spontanicznie, trochę pod wpływem piwa wciąż jeszcze nie zwietrzałego z głów od czasów tamtego baru pod sosną. Kamienicą przeszliśmy na boisko, opustoszałe pole bitewne, tyle razy pokonywane wzdłuż i wszerz w trudach samotnych dużych przerw. Mapa betonowych pęknięć jest wciąż taka sama jak pamiętam, wzbogacona o siateczki nowych, drobnych zmarszczek porządkujących chaotyczne kępki kończyny i dzikiego rumianku. Asfaltowe łaty, odcinające się od reszty ciemniejszym grafitem sygnalizują najcięższe rany zadane boisku przez złą pogodą i setki tratuujących go tenisówek. Punkt ciężkości wciąż wyznacza płytki lej, skumulowany pod siatką do koszykówki. Kiedy padało, zbierała się tam spora kałuża i odwoływane były lekcje WF-u.

Wchodzimy na pierwsze piętro, sala do matematyki, dalej 205 do polskiego chyba, już nie pamiętam. Mają nowe szafki na kurtki, jak w Ameryce. Wchodzimy na te drewniane schody koło roślin, dalej nie ma światła, ale pamiętam je, ich wysokość i nierówny układ, więc się nie potykam, ale matka za mną trochę tak, więc podtrzymuję ją za ramię i wdrapujemy się piętro za piętro. Idziemy jakby po pięciolinii, każdy stopień odpowiednio skrzypi, to jest znana melodia i wiem kiedy i jak stąpnąć, żeby wydobyć z tych schodów dawną nutę.

Matka fałszuje.

Kamienica jest w jeszcze gorszym stanie, niż pamiętam. Klatka schodowa jest szara, w powietrzu wisi brud. Czuję, jak powoli zatyka mi się nos od tego. Na parapetach stoją kolonie maleńkich robaczków, trzeba iść ostrożnie, żeby ich nie wzniecić, bo mogą pokąsać. Można iść powoli, albo biec i wtedy zdezorientowane tumultem nie zdążą zaatakować. Na trzecim piętrze przechodzimy przez suszarnię, w powietrzu stoi mdły zapach mydła i taniego proszku do prania. Przez szpary w drewnianej ścianie przedziera się słońce, na co kurz wiruje i robi się leniwie i jakby smutno. Matka sapie i pluje pyłem.

Dalej jeszcze sporo jest przejść, wspinaczki, przedzierania się przez mokre ściany z prześcieradeł i w końcu pukamy w czekoladowe drzwi, a długo trzeba było pukać, bo tak to jest,

że im ktoś ma mniejsze mieszkanie, tym dłużej trzeba czekać aż otworzy drzwi. A oni mają małe i chyba też bez okien. Otwiera w końcu jego ojciec już pijany, wygląda jak marynarz i śmierdzi niemyciem. Idziemy za nim długim i wąskim korytarzem wyłożonym malinową i poplamioną wykładziną. Korytarz się coraz bardziej zwęża i musimy iść gęsiego. Jest gęsto i siwo od dymu, wszystko rozmazane jak na starych filmach, ale my jesteśmy żywi. Na końcu korytarza są tylko jedne drzwi, te które pamiętam, z klamką na sprężynie i napisem, że wiadomo, że prywatne i nie wchodzić i *peace* i *fair play*. Dookoła drzwi zbudowaną ma P. jakby futrynę z gratów, pudeł z rodzinnym posagiem i ojcowizną w postaci małego ekranu szumiącego wkurwiająco telewizorka. Przed pokojem stoi też stolik jak jakaś stróżówka, przy którym jego ojciec pije i tarmosi silną i spoconą dłonią darmowe gazety.

Wygląda na to, że brakuje tu połowy mieszkania, na pewno brakuje, bo dobrze je pamiętam. Wtedy, kiedy marynarz jeszcze miał pracę i dom był pusty, to była tu przynajmniej jeszcze kuchnia i łazienka, graliśmy w gry telewizyjne na innym telewizorze, na większym, mieliśmy nawet dwa joysticki i P. mi dawał tabakę z pudełka po tictakach. Pachniała jak cała skrzynka przypraw mojej matki naraz. W nosie było jeszcze gorzej. Albo lepiej. I to się działo za kanapą. To i inne, jeszcze lepsze rzeczy za kanapą, której teraz tu nie ma. P. mówił, że mam specjalne ręce do tabaki, bo z takim rowkiem między kciukiem a nadgarstkiem. Miałam długie i chude ręce, które nadawały się od razu na dwie porcje. Wciągał ją ze mnie, to było przyjemne, trochę łaskotało.

Pukam do P., ale nie cieszy go mój widok. Ma słuchawki w uszach i tą koszulkę co zawsze; ze spranym napisem '*cheerleader*' na piersi. Dziewczynek z koszulki już nie ma, pewnie starł je proszek do prania, może istnieją w postaci drobin w zakamarkach pralki, a może płyną już ściekiem do Bałtyku. No, pamiętam tę koszulkę. Na kaflowym piecu dalej wisi gruba warstwa plakatów, bo rodzice mu nie pozwalali przyczepiać nic do ścian, żeby nie odpadł tynk, więc przylepiał jeden na drugim do pieca, który wyglądał w końcu jak słup ogłoszeniowy. Pewnie dalej tak nalepia, bo zapomniał, że już jest duży i że nie musi się martwić o tynk, skoro połowa domu mu odpadła.

Jedynie co się w P. zmieniło, oprócz czapki z daszkiem (wtedy miał z napisem Raiders, a teraz ma z niczym) to to, że chyba zobaczył za dużo i nosi w końcu okulary. Bo już dawniej nic nie widział, ja zresztą też nie. Czytaliśmy furę komiksów po ciemku i graliśmy w gry za blisko telewizora i nam to emitowane z ekranu wyżarło wzrok. Dokładnie tak, jak straszyli rodzice.

Okularnicy są rozbijający dlatego, że ten najbardziej informacyjny zmysł mają popsuty i jakby im zabrać okulary, to staną się bezbronni i żałośni. Teraz jest już może trochę inaczej, bo okulary stały się raczej modne, wszyscy się noszą a la Ginsberg, nawet czasem ci co dobrze widzą. Wtedy mają tam w oprawkach zwykłe szkło, które może się stłuc i im popadać do oczu i ich zabić. Ale kiedyś to od razu było wiadomo kto jest słaby, kogo najłatwiej lać w szkole, więc nie nosiliśmy okularów i mieliśmy jedyne ze sprawdzianów, bo nie dało się przepisać nawet poleceń z tablicy, nic nie było widać. Raz rodzice, podczas jednej z kłótni trochę się poszarpali, mama akurat myła podłogę i wskutek tej szarpaniny spadły jej okulary, a tata je podniósł i wrzucił do wiadra z brudną wodą. To było smutne jak mama po omacku grzebała w tym szlamie rękoma w poszukiwaniu swoich brudnych od podłogi okularów. Chyba od tamtego czasu wady wzroku mnie smuć.

P. na mój widok nawet nie wyjmuje słuchawek z uszu. Jest zmieszany, chociaż stara się trzymać rezon. Jakoś nam tak głupio. Wychodzę za nim z pokoju, a tam pod drzwiami moja matka półleży przy stoliku i jest lekko pijana alkoholem jego ojca. To jest jeszcze głupsze, więc zostawiamy ich, zwłaszcza, że ona już dotyka jego wyimaginowanych, marynarskich tatuaży, a jedną z dziar jest odcisk jej szminki.

P. chodzi na komers co roku, bo ma blisko. Powiedział, że spotyka się też z Natalią, co miało mnie niby odstraszyć. I tak nie wierzę, że widuje tę pipę. Zbiegamy ze schodów, wykręcamy się z jego bramy spiralnymi schodami w dół, trybiki skrzypiącej klatki schodowej pracują pełną parą naszych tramppek, wypluwając nas na podwórko, a potem cugiem przez długą, wilgotną bramę z powrotem na boisko.

Przed tylnym wejściem obok sali gimnastycznej, stoi pan dyrektor szkoły, słynący z wieloletniego pełnienia swojej funkcji oraz z udanego przeszczepienia mu serca świni. Operacja ta była po części eksperymentem, ale ponieważ pan dyrektor nie miał za bardzo możliwości przebierania w sercach, a bardzo zależało mu na życiu za wszelką cenę i dyrektorskiej reelekcji, zdecydował się podjąć ryzyko, a ponadto nakręcić całą operację na popularnym wówczas nośniku wideo, by później odtwarzać ją swoim uczniom na każdym zastępstwie lub lekcji wychowawczej. Świńskie serce jest podobne do ludzkiego, tylko większe. Pomimo tego, pan dyrektor wygląda na mniejszego niż dawniej, wymizerowanego i wystraszonego poruszeniem panującym w szkole. Drepcze w miejscu, zmieszany wielkością przybytku jaki przyszło mu nadzorować, zdejmuje zaparowane okulary i bezwiednie przeciera szkła flanelową koszulą, która pewnie zostawia na nich zmechacone włókna i smugi. Jest chudy, ma mokre oczy i nerwowy tik odgarniania z czoła fantomowych włosów.

Nie mówię mu dzień dobry, bo stoi za daleko, ale jestem wzruszona jego widokiem, a jednocześnie zła, że nie będę mogła przyjrzeć mu się z bliska, ciekawa czy mnie rozpozna.

Natalia ciągle była zakochana, czasem w kilku chłopakach na raz, czasem przez kilka semestrów, a czasem tylko przez 15 minut przerwy. Szła do szkoły, zawsze sterczała pod czyjąś klasą, potem szukała kogoś na boisku, patrzyła jak gra w piłkę, lubiła rekolekcje szkolne, bo dało się usiąść obok nich w kościelnej ławce. Zawsze byli to chłopcy z którymi nigdy nawet nie rozmawiała, starsi albo w jakiś inny sposób nieosiągalni. To był chyba taki sposób Natalii na przetrwanie szkoły, na odznaczenie dnia za dniem. Chodziło o to, żeby się czymś zająć i żeby szybciej minął czas do momentu kiedy będziemy już duzi i będzie można WSZYSTKO. A w międzyczasie, zanim urosną piersi, pobawić się w rzeczy, jakie widziała w telewizji, w filmy o makijażu na całą twarz, o dojrzałych facetach, o dużych lustrach i farbowanych na blond włosach i skończonych kobietach, leżących w łóżkach do popołudnia, popijających whiskey, a potem podpalających się razem z pościelą od przyćmionego papierosa. Chciała być z celulozoidu, łatwopalna i piękna.

A teraz idziemy z nią pić, po ilu? Po piętnastu latach. P. udaje nonszalancję, niby słucha muzyki, ale tak cicho, żeby słyszeć wszystko co mówię. Jest bardziej przejęty niż chce żeby było to po nim widać. Nic się nie zmieniło, ma chyba nawet ten sam tłuszcz na głowie, co w '99-tym. Nie idziemy zbyt daleko, do baru *Domino*, który jest kawałek za szkołą i o który były swego czasu awantury, że znajduje się w zbyt bliskim sąsiedztwie szkoły i że może deprawować uczniów. Przez to, że uważano go za kuszący, to nikogo on w ogóle nie interesował, może ze względu na zbyt oczywistą klęskę w razie prób zamówienia alkoholu, czy nawet wejścia do środka. Przez to nigdy tam nie byłam, bo jak nie było wolno, to nie, a jak już było, to znalazłam ciekawsze miejsca. Ale oni tutaj widzą cierpliwie czekali i wygląda na to, że im się spodobało.

Kiedy wchodzimy do środka czuję się, jakbym odrabiała zadanie z matematyki w przechodzonym podręczniku. To mnie złości, więc patrzę dookoła z wyższością. To jest konformizm albo zadośćuczynienie po latach. Oczywiście szczypią od dymu, więc je zamykam,

chwytam P. pod ramię, ale on mnie odpycha. Skoro tak. Pocieram oczy, tusz za paznokciami, a jak je otwieram to już siedzimy przy stoliku.

Natalia. Jest piękna. Piękniejsza niż wycinki z gazet o modelkach i aktorkach, które zbierałyśmy i wklejałyśmy do starych zeszytów od polskiego. Patrę po sobie, co ja mam w ogóle ubrane, dziurawe szorty, koszulka, której nie lubię, bo jest za bardzo pod szyję jakbym miała się zaraz udusić. Natalia jest drobna, siedzi wyprostowana z wypiętą piersią, rude włosy z grzywką błyszczą jej w migoczącym świetle automatów do gry. Wita się nie wstając i wcale się nie dziwi moją obecnością. Nie reaguje, jakbyśmy się widywały codziennie. Popija kolorowego drinka i gasi cienkiego, czerwonego od szminki papierosa. Wygląda na to, że spełniły się jej marzenia z dzieciństwa.

Wymieniamy grzeczności. Natalia za bardzo zadziera głowę, mogę jej zajrzeć w ten sposób do nosa. Pomimo tego, że połowę życia spędzają z P. w *Domino*, a resztę w domu i ich rozmowy ograniczają się do opowieści ze szkoły i przywoływania wspomnień o co bardziej pijackich potyczkach knajpianych, to jednak czuję się w ich towarzystwie jak szara i papierowa osoba, z papieru pakowego, nudna i pognieciona. Skubię sztuczny kwiatek w brudnym wazoniku i wypełniam palcami oczka w koronkowym obrusie pełnym dodatkowych dziur po papierosach. Oni są jacyś lepsi, choć przecież niby wcale nie. Są zajmujący w swojej nudzie i bylejakości. Podchodzi barman, wdzięczy się do Natalii i pyta co podać.

- Whisky – Natalia głaszcze go po rękę, którą oparł o jej krzesło. – Dużo whisky.

- Dla mnie piwo – tu P.

Domino jest mniej obskurne niż się spodziewałam, bardziej prowincjonalno-eleganckie. Chce trzymać fason, ale obrazki z kobietami w długich chustach na tle spokojnego morza albo resztki łańcucha bożonarodzeniowego, którym oplecione są wieszaki na matowe kieliszki, nie mogą się powstrzymać przed zdradzeniem się ze swymi ordynarnymi ciągotami. Tutaj piwo wciąż kosztuje cztery złote, a kula dyskotekowa mruga na ślepo. To w takich właśnie miejscach pili kiedyś nasi ojcowie; niedługo po naszym urodzeniu, żeby coś tam zapić, jakieś tajemne problemy i strachy, którymi się sami w końcu stali. W czasach mojego dzieciństwa, *Domino* uchodziło za złe, bo tam tata chodzi wieczorem i robi nie-wiadomo-co. Zajrzenie tam równa się śmierci, równa się matki łzom, a teraz ja tu sama wchodzę i piję z tej samej brudnej szklanki co kiedyś ojciec i skubię tę samą koronkową serwetkę i oglądam molekułę kurzu na sztucznym kwiatku z '98 i jednak trochę wolę, żeby ojciec akurat teraz tu nie wszedł, bo czuję, że musiałabym wstać i się tłumaczyć. No, ale wiadomo, że on tu nie wejdzie, bo skoro ja dorosłam do tej knajpy, to znaczy, że on z niej wyrósł, więc nigdy się nie spotkamy przy wódce, a o szlaczkach których ja się uczę z serwetki on już dawno zapomniał. Jestem konkwestadorem mikro kontynentu, z którego przepędzono tubylców.

Natalia zajęła stolik w pobliżu drewnianego baru i co chwilę wymienia poządlive pozdrowienia z barmanem. Za kilka pierwszych drinków jeszcze płacimy, ale później alkohol spływa w nasze szklanki omijając już barowe miarki. Nasz stół coraz bardziej się klei, a my do niego.

- Więc gdzie się podziewałaś? – Natalia po raz pierwszy odzywa się bezpośrednio do mnie, z pijackim zaśpiewem i szaleństwem w oczach. Przygląda mi się spod obciążonych makijażem, zmrużonych powiek, spod rudej grzywki, która wplątuje się w posklejane rzęsy. Ma głęboko osadzone oczy, cień jej się gromadzi w oczodołach, wygląda jak śmierć.

- Cały czas jestem w mieście. ale w te okolice... szkolne, to raczej się nie zapuszczam.

- Przyszła dziś na komers – P.

- Na komers? A to dobre – Natalia śmieje się mierzwiąc włosy – I co, fajnie było?

- Przez przypadek tu trafiłam, komers już się wtedy skończył – tłumaczę się niezdarnie przydając sobie żałości i zastanawiając się która jest godzina. – a potem odwiedziłam P. i mnie tu przyprowadził, nigdy tu nie byłam.

- No co ty, ja tu ciągle siedzę – Natalia mówi wpatrując się w sufit z taką miną jaką ja zrobiłam przy wejściu, a przynajmniej tak ją sobie wyobrażałam. – Ciągle tu siedzę, ale dużo się zmieniło. Nagle spogląda mi ostro w oczy:

- Kwestia obycia z niuansami, które budują nowy wymiar tych samych zdarzeń. – zaczyna pijany wykład, pustostłowny bełkot, ale barokowy w trudne słowa. Wyciąga skręta, zapala i nikogo to nie obchodzi. Barman dalej poleruje szkło na tle tabliczek zakazujących palenia, nieliczni goście popijają zawiesziste alkohole, a Natalia strzepuje błękitnawy popiół do wazonika i kontynuuje:

- Ty chcesz być jak jakieś piękne, nieznanne słowo w obcym języku, które tylko wyobrażam sobie co może znaczyć - ciągnie dalej – i to jedno słowo robi właściwie za całą opowieść, ma kolor, zapach, temperaturę, wygląda jak konkretny pokój hotelowy i sprawia, że ja się konkretnie teraz czuję. Nigdy nie chce się dowiedzieć co to słowo znaczy – spojrzała na mnie sceptycznie - ale ta filozofia nieuczestniczenia cię zgubi.

Już zupełnie nie rozumiem o czym ona mówi. Kiwam głową, że ma rację, ale w sumie mam ochotę jej wygarnąć, tylko nie wiem co. Jestem zmęczona. Muszę się przespać, ale zamiast tego wlewam w siebie zawartość szklanki, którą barman natychmiast z powrotem napełnia. Dopiero teraz zauważam, że gra muzyka, ale nie znam żadnego z tych kawałków, chociaż brzmią jak szlagiery, jak hiciory. Natalia kołysze się na boki z zamkniętymi oczami, kręci głową do rytmu. W końcu stacza się z krzesła, mówi, że idzie do toalety, ale zamiast tego kuca i na czworakach gramoli się za bar łuszcząc się do nóg barmana.

Trochę konsternacja. Stresuję się ciszą i zastanawiam czy P. też się stresuje. Tłumaczę sobie, że przecież nie muszę nic mówić. Nie trzeba rozmawiać. O czym w ogóle można rozmawiać? Zza baru dochodzą nas popiskiwanie Natalii, jej pomruki przechodzące w niezadowolone jęki, a w końcu w krzyki. P. wykonuje gwałtowny ruch sugerujący chęć niesienia pomocy, ale jest to działanie niezdecydowane, ociążałe i raczej pantomimiczne.

- Pójdę sprawdzić o co chodzi –i jednak zsuwa się z krzesła.

Idę za nim, trochę odruchowo, a trochę dlatego, bo boję się, że nie wróci. Za barem już nikogo nie ma, więc idziemy za głosem Natalii, za coraz bardziej histerycznym chichotem. Wchodzimy do pomieszczenia gospodarczego, zastawionego skrzynkami z piwem i colą. Z obdartego sufitu cieknie brązowa woda i spływa fugami do najniższego punktu nierównej podłogi tworząc czarną kałużę. Przypomina mi to lej ze szkolnego boiska. P. sięga po piwo, więc ja rozglądam się za whisky. Na zapleczu nikogo nie ma oprócz nas. Goście na sali, po chwilowym zniecierpliwieniu, sami dolewają sobie alkohol z butelek poustawianych za barem. Chwytam ciepłą i bursztynową flaszkę Bushmills'a i chlapię sobie solidnie w gardło, przeceniając swoje możliwości. Zanoszę się kaszlem i spluwam na kafelki, w brudną kałużę. Koronka plwociny faluje przez chwilę, aż ciecz na podłodze i moje gardło uspokajają się.

Za pudłami chipsów i paluszków jest przejście, czarna dziura i P. tam znika. Trochę się denerwuję, waham czy iść za nim, czy szybko się pożegnać i iść do domu. Która w ogóle jest godzina? Nie umiem podjąć decyzji, ale jakoś dołączam do niego, w początkowo granatowe, a później już tylko czarne odmęty korytarza, który cały zalany jest piwem, pewnie jakaś beczka cieknie. Wszędzie jest ciemno, a trasę wyznacza nam światło z końca korytarza odbijające się mlecznie w mokrej, kamiennej posadzce. Ciemność oblepia białą koszulkę P. i wszystko dookoła, żeby nas zmylić i żebyśmy się zgubili. Natalia z barmanem już w zupełnej zgodzie skręcają w jedno z bocznych przejść i czujemy się nieswojo, bo nagle nasza wyprawa z odsieczą przechodzi

w jakąś dziwną formę wścibstwa. Ciągnie nas z powrotem, ale idziemy dalej, bo jednak bardziej pociąga nas ciekawość niż przyzwoitość. Jest nam jakoś dobrze w tym ciemnym i ciepłym labiryncie, w tych jelitach, które nie przypuszczałam, że ten *Domino* w ogóle posiada. W świetle z mleka, które już pozwala nam widzieć swoje tenisówki i siebie nawzajem widzę, że ściana spod moich palców zmienia kolor z szaro-brązowego w szpitalną zieleń. Jest to taka sama granica jak w szkole, od razu to kojarzę. Kamienna posadzka, klejąca i popękana, przechodzi jak od linijki w wychodzone przez pielęgniarskie laczki linoleum, tak jakby ktoś intensywnie chodził tam i z powrotem, a zawracał dokładnie na tej linii.

Z każdym krokiem robi się coraz ruchliwiej, coraz bardziej pachnie lizolem i obnaża się szpitalna szpetota. Na ścianach wiszą plansze i tablice dające nieaktualne już rady na temat zachowania zdrowia, nakłaniające do picia mleka i dbania o higienę przynajmniej raz w tygodniu. Drzwi do niektórych pomieszczeń są pootwierane i w tych salach, dusznych od dymu papierosowego i ginących w buszu podupadających na zieleni paprotkach, pielęgniarki ważą dzieci i każą im odczytywać litery z kartonowej planszy. Plansza jest zadrukowana cyrylicą, więc dzieci nic nie potrafią przeczytać, a to jest znak dla pielęgniarek, że nic nie widzą. Panuje epidemia ślepoty. Wszystkie powinny nosić okulary, żeby móc poprawnie notować z tablicy. W pielęgniarsce wykonującej w pomieszczeniu obok szczepionki, rozpoznajemy naszą szkolną polonistkę. Sala obok to gabinet stomatologiczny. Ostry zapach jodoformu gryzie w nos i powoduje u nas skok adrenaliny. W kolejce do zabiegu czeka grupka dzieci, piszczących z podekscytowania własnym strachem. Dentystka jest starą kobietą, na oko nie powinna się już zbliżać do ostrych przedmiotów. W fotelu przed nią siedzi przerażony chłopiec, jego usta podtrzymywane są przez metalowy lewarek, który uniemożliwia mu ich zamknięcie.

Przypomina mi się jak raz sama siedziałam w tym fotelu, jak dentystka wywołała mnie z lekcji i kazała zejść na dół na usunięcie zęba albo na borowanie. Tylko, że ja nie otworzyłam w ogóle ust. Długo ze mną pertraktowały stara i młoda, bo teraz już pamiętam tę starą, która wtedy nie była jeszcze aż tak stara. Za nic nie dałam się przekonać, matematyka się skończyła, a ja nie otworzyłam buzi i mogłam iść na przerwę. Teraz miały już na to sposób. Stara po omacku grzebała w buzi chłopca jakimś groźnym narzędziem i mruzczała skrzekliwym głosem:

- O ile prościej byłoby mi dostać się do zębów, gdybym mogła otworzyć ci te dziąsła wzdłuż linii szczęki – dłubała z namaszczaniem. – Albo gdybym chociaż mogła rozciąć ci kąciki ust. Miałyś szerszy uśmiech! – zaniósł się bulgotem śmiechu.

I nie wiem jak do tego dochodzi, ale nagle krok po kroku, od sprzeciwu do kapitulacji siedzę w fotelu obok, równie wytartym od wierzących go pośladek, co za małym i szamoczę się pod krępującymi mnie parcianymi pasami. A więc tego też się dorobiły, oprócz doustnego lewarka. Podchodzi juniorka. Dobrze się trzyma, wygląda lepiej niż ją zapamiętałam. Jest tak, że oglądając swoje zdjęcia z przeszłości czuje się czasem zażenowanie, bo fryzura niepoprawna, ciuchy zawstydzające. Pomimo starzenia, ciągle wyglądamy lepiej, bo zgodnie z duchem czasu. Dlatego ona też. Kiedy wyciąga lewarek, mówię, że nie trzeba, że jestem już duża i otworzę usta i powiem „a”. Jest nieufna, ale wyczuwa żenadę tej przemocy. Nie wiem dlaczego tu siedzę, ani dlaczego nie mogę wstać i wyjść. Tak chyba po prostu musi być. Otwieram usta na zasadzie przekory, męskości, demonstracji, że coś się skończyło i że nie chcę już walczyć o swoje zęby, mam ważniejsze rzeczy na głowie, z czym do mnie kobieto? O dziwo zamiast uruchomić wiertło, dentystka pyta mnie o ważne rzeczy, o historie, które nie wiedziałam nawet, że mi się zdarzyły dopóki mnie o nie nie zapytała. Ona wie więcej i lepiej niż ja. Z ociąganiem i nadzieją na przewleczenie się zabiegu, opowiadam o zimnym poranku i splątaniu nóg w jak najciaśniejszy supeł, żeby wytworzyć ciepło, o oplataniu się paprotką, żeby stać się jej przedłużeniem i zniknąć,

o tamtym incydencie na parkingu, kiedy rower utknął mi pomiędzy płytami chodnikowymi i nie mogłam się ruszyć, bo te płyty nagle zaczęły grać melodię wystukiwanych na nich kroków, nucić trucht i tupot, być wielką płytą z najlepszymi utworami ulicy; szumy z aut, skrawki piosenek rzeżących silników i pet wdeptany w chodnik. I zanim skończę mówić, czuję, że brakuje mi niektórych wyrazów, że na przykład nie pamiętam słowa określającego błysk świadomości, który ma się chwilę przed upadkiem. I czuję, że kobieta w końcu grzebie mi w ustach, słucha – ale jednocześnie grzebie i wyrzywa mi z gardła to słowo, które właśnie zapominam na dobre, to upadkowe słowo wyrzywa. Wzbraniam się przed tym, rzucam głową w tył, ale słowo trzęsie się już tylko na nitce bladej galaretki i niknie w plastikowym woreczku, który następnie dentysta chowa sobie do fartucha kitla. Nie mam pojęcia co mi zabrała. Zgubiłam wątek, a ona kontynuuje. To samo robi ze słowem opisującym wrażenie, że zna się obcą osobę mijaną na ulicy, chociaż się jej nie zna. Potem bierze zapach truskawek z rynku zestawiony z ich rzeczywistym smakiem. Jest mi coraz gorzej, coraz trudniej jest mi cokolwiek sobie wyobrazić, są to bardziej strzępki zdań, które wyświetlają się w głowie na granicy snu, kiedy wszystko jest domięśniowo oczywiste, kiedy potykam się o krawężnik, kopię kołdrę i upadam w kolejne, jeszcze gorsze pandemonium.

Z mojej krtani chce dobrać się wściekłość i wrzask, ale zamiast tego bulgoczę tylko przekleństwa, które brzmią jak odgłosy kota w rui, jak przekleństwa pozbawione samogłosek. Marzę o kneblu, w który mogłabym się wgryzać aż do rozdzielenia go na osobne włókna, na ostre nici dentystyczne dające ulgę, bo ból, bo jakieś czucie moim ustom. Ale nic. Niepostrzeżenie jednak zamontowała lewarek, suka. Wiedziała jak to będzie i teraz zabiera się za... Tylko nie „egzotarium”. To jest moje ulubione słowo! Pielęgniarka napotyka na problem; nie wie co ono znaczy i nie potrafi go usunąć. Ja się już nie odzywam, ale wszystko na nic. Szarpie dalej z głębi gardła po jednej literce. Najbardziej boli przy „r”. Kiedy kończy nie pamiętam już za czym płaczę. Wsadza mi wacik z alkoholem w nieokreśloną dziurę. Dziura łąpczywie zasysa, więc wkłada kolejny. Nie wyjdę stąd trzeźwa, o nie. Dużo musisz mieć tych wacików, żeby zaplombować mój słownik. A potem nie wiem jak, ale jakoś nagle nie jestem już w dentystycznym fotelu tylko obok P., który się przyglądał jak mnie kastrują i na pociechę częstuje mnie papierosem, ale nie mamy ognia. Nie wiem jak nazwać tą nędzę.

Nigdzie nie możemy znaleźć Natalii, chociaż pod wpływem szpitalnych dziwów tak naprawdę zapomnieliśmy o niej na chwilę wystarczającą, żeby zniknęła nam z oczu razem z baristą.

Zaglądamy do pielęgniarskiej dyżurki. Natychmiast rozpoznaję meble kuchenne P. i kanapę z jego salonu. Patrzę na niego, a on na mnie; widzę, że bada czy się zorientowałam. Udaję, że nie. Pielęgniarki siedzą wokół kilku połączonych razem stołów, które nakryły szpitalnym prześcieradłem i przy których hucznie biesiadują. Są już wyraźnie wstawione. Liczne półmiski, tace, salaterki wypełnione są sałatkami domowej roboty, plastrami serów i wędlin. Na tacy wypina się obfita pierś kurczaka przybrana pieczonymi na słodko jabłkami. Pielęgniarki rozzochrane i w poprzekrzywianych fartuchach bawią się głośno i krzykliwie, polewają sobie wódkę we fiolki do badań krwi i wypijają ją haust za haustem. Boli mnie gardło.

Na nasz widok krzepka blondyna animuje pulchnym ramieniem gest zapraszający do środka, więc zaraz sadzają nas za stołem, zatykają nas roladą z wędzonego łososia, pigwówką i Septolete. Nie możemy się odezwać zza pokładów jedzenia stacjonujących w niezmiennej, bo wciąż uzupełnianej ilości w naszych ustach, ale za to słuchamy, ja słucham i powoli orientuję się w nietypowych motywach tego hucznego przyjęcia. Odbywa się ono na cześć głównej

pielęgniarki oddziałowej z okazji jej rychłej i szybko postępującej śmierci. Jest to o tyle dziwne, że mdlejąc od majonezu, z zapieczonymi od wódki policzkami, orientuję się w końcu, że główną oddziałową jest siedząca naprzeciwko mnie otyła kobieta z włosami w kolorze fioletowej płukanki, zatracająca się żwawo w dobrach cielesnych, które oferuje suto zastawiony stół. Biesiada ma na celu przyniesienie jej ulgi w czasie umierania i zapewnienie asysty podczas tej ostatniej popijawy. Oddziałowa jest przez to najbardziej pijana, blada, a jednocześnie o szyi i nosie zaczerwienionych od trunków. Siostry przekrzykują się w opowieściach, wspominają anegdoty z ich i głównej pielęgniarki udziałem, śmieją się i robią wszystko, żeby zagłuszyć charkanie tamtej i nie dopuścić do wybrzmienia ani jednej białej nucie ciszy. Siostra oddziałowa, jak wynika z lśniącej plakietki z imieniem, która pobłyskuje od jarzeniówek na jej okazałej piersi, powleczonej poplamionym od ucztowania i dogadzania sobie fartuchem, nazywa się Halina Słonka i pochłania największe ilości jedzenia i wychyla napitki najłapczywiej. Czasem pokasłuje, poddusza się sernikiem albo koreczkiem śledziowym, coraz bardziej sina na twarzy i spuchnięta.

Widząc, że oddziałowa coraz bardziej odpływa w śmiertelno-alkoholowy majak, zbieram się na odwagę i mówię:

- Pamiętam panią ze szkoły. Była pani woźną.

- To co tu w takim razie robisz serduszko? – siostra Halina rubasznie chichocze - Wracaj na lekcje.

- Ale ja już dawno skończyłam tę szkołę, tę... no, koło szpitala –po raz pierwszy oficjalnie rozmawiam z jakimś pedagogiem szkolnym o szpitalu, a on nie może mnie zbyć, bo oto przecież siedzimy w dyżurce pielęgniarskiej i prawda gniecie w oczy.

Oddziałowa jakby trzeźwiej o jeden promil, szturcha siedząca obok siostrę Iwonę od geografii – swoją rychłą zastępczynię i coś jej szepcze do ucha, nieudolnie artykułując swoją wypowiedź. Siostra Iwona pod serdecznym uśmiechem pełnym uniżoności, skrywa zniecierpliwienie i irytację. Przybiera pobłażliwy wyraz twarzy typowy dla osoby trzeźwej, rozmawiającej z kimś pijanym. Popatrują obie na mnie i P., nerwowo zaglądających w twarze pielęgniarek, które stopniowo, jedna po drugiej – jak w jakimś wcześniej przygotowanym i przeciwiczonym układzie choreograficznym – zwracają ku nam swoje bujne ciała i twarze o pytających spojrzeniach. W końcu siostra Iwona, skłonna widocznie pełnić swe funkcje przedwcześnie, pyta oskarżycielskim tonem:

-Jak tu trafiliście?

- Z baru *Domino* –odpowiadam z uczniowską pokorą, skwapliwie i z uśmiechem jak dziecko, które ma się dopiero dowiedzieć, że coś przeskrobało.

- Uczniowie nie mogą wchodzić do baru *Domino*, to jest zakazane.

- Ale my już się nie uczymy – P. odzywa się po raz pierwszy odkąd usiedliśmy przy stole, odchrząkując uprzednio wszystkie potencjalne słowa, których do nikogo nie wypowiedział.

- Absolwenci – mruczy pielęgniarka tonem sugerującym, że obrazek sytuacji jaki rysuje sobie niemo w głowie został właśnie uzupełniony o znaczący element – kiedy skończyliście naukę?

- W '99-tym. Siostra była moją wychowawczynią.

Konsternacja i niezadowolenie. Pielęgniarka ma minę, jakby chciała cofnąć swoje pytanie, zapomnieć o sprawie i nie dopełnić od razu pierwszego obowiązku, który sama sobie samozwańczo narzuciła. Ale inne siostry patrzą, teraz już wszystkie patrzą na mnie i P. i trzeba przedsięwziąć odpowiednie kroki, trzeba wyciągnąć niewiadome jak na razie konsekwencje za nasze zagadkowe przewinienie.

- Dziecko, to nie jest po prostu szkoła albo szpital – pielęgniarka mówi powoli, jakby musiała najpierw potknąć się o każde swoje słowo, żeby je w ten sposób sprawdzić i być go

pewną, jakby wstawili je w jej usta na nowo, po uprzednim usunięciu – To jest duża Instytucja, której wy też podlegacie, której podlegamy my wszyscy, a która teraz to już reguluje prawie wszystko. Instytucja jest jak statek-matka. Nie możesz się od niej oderwać, te więzy są bezwarunkowe. Jeżeli tu jesteście, to znaczy, że macie jakieś nieuporządkowane sprawy z Instytucją. Ponadto ty – tu kieruje zaobrączkowany palec w moja stronę – ty nie bywasz w *Domino* wcale, inaczej bym cie pamiętała. Będziesz musiała za to odpowiedzieć i w najlepszym wypadku zapłacić grzywnę, jeżeli chcesz mieć prawo dalej podlegać pod ustawodawstwo Instytucji, co zresztą jest nieodzowne, bo nie ma już niczego co byłoby poza zasięgiem jej kontroli. Być może właśnie dlatego tu dzisiaj jesteś.

Przemowę siostry Iwony przerywa początkowo nieznaczny zamęt przy stole. To pielęgniarka oddziałowa skupia na sobie uwagę swoją nagle bardzo gwałtownie postępująca śmiercią. Oczy wywracają jej się białkami do góry, szyja puchnie nienaturalnie, uciska ją pod brodą jak sina opona, a na twarz wstępują nieregularne czerwono-zielonkawe plamy. Oddziałowa charczy, ślina cieknie jej po brodzie, kiedy sięga po kolejne udko kurczęcia, a drugą dłoń oplata wokół już cieplej i matowej od jej tłustych rąk butelki wódki i wychyla łąpczywie ostatnie łyki. Znosi się śmiechem i kaszlem, sapie, stęka i sięga sobie pod brudny, pielęgniarski fartuch, zapuszcza chciwe palce między fałdy spódnicy i tłuszczu i gmera zachłannie w swoim kroczu pomiędzy potrawką z myszki a deserem z galaretką. Wśród pielęgniarek następuje konsternacja, zmieszane spuszczają wzrok, w odruchu samoobrony chcą nakładać sobie ciasta czy sięgnąć po plasterek szynki, ale jednak rezygnują, jednak wolą poprawiać sobie plakietki z imieniem albo naprostować pielęgniarski czepek, przekrzywiony w szale zabawy i rozpusty.

– To chyba już! – siostra Iwona od geografii z ulgą traci zainteresowanie intruzami i przejęta zwraca się w stronę Haliny w geście biernego symulowania pomocy i troski. Trącam łokciem P. zamroczonego i przypatrującego się z nabożeństwem oddziałowej, bo to jest nasz moment wycofania się z przedstawienia, choć opuszczenie widowni przed końcowym aktem jest trudne. Melodramat i śmierć na żywo wciągają, a nie jest to normalna ani smutna śmierć i nie jest to śmierć telewizyjna, która choćby najbardziej kuriozalna jest jednak fikcją. Tutaj mamy do czynienia z rzeczywistością, siostra oddziałowa po kilku dreszczach i drgawkach, po gwałtownych torsjach i strzykaniu mleczną zawiesiną swej ostatniej wieczerzy w fartuchy koleżanek, składa rozczochraną głowę na talerzu wciąż pełnym kości kurczaka, niedojedzonego ciasta i zimnej awanturki i w końcu cichutko odpływa w powolne i zrezygnowane *rigor mortis*.

Podnosi się lament, ale jest jakiś taki wystudiowany i w skali raczej durowej. Pielęgniarki podnoszą oddziałową z talerza, jej twarz powalana jest ochrą musztardy fatalnie złamaną magentą z buraczka. Ligniną obcierają jej twarz z majonezu i tłuszczu, wypuszczając spod ruchów wacika pierwsze pośmiertne plamy i wciąż otwarte oczy brzydtko przerażone i kontrastujące z ustami zastygłymi w nieszczerym uśmiechu. Czyli i tak zjadł ją strach, a nie odwrotnie. Chwytają ją pod pachy i ładują na szpitalny wózek, który dopiero teraz zauważam, a który cały czas stał przy wejściu, gotowy do zabrania trupa oddziałowej. Ciekawe czy ona sama zwróciła na niego uwagę.

- Zawieźcie ją do kostnicy. – oddziałowa Iwona wydaje swoje pierwsze oficjalne polecenie – Nie zahaczcie o nic rękoma i złączcie jej nogi.

Patrzemy po sobie z P. Wyjście zatarasowane jest przez wózek, czekamy aż karawana pójdzie dalej, a wszystko to zaczyna mnie już denerwować. Nie chcę tu być, nie wiem o co chodzi i nie wiem która jest godzina. Rozglądam się po ścianach i odnajduję wzrokiem zegar. Jest 9.21, ale nie wiem czy rano, czy wieczorem. W całym szpitalu nie widziałam chyba ani jednego okna, jedyne światło pochodzi od buczących jarzeniówek. I wtedy słyszymy zza oddziału pielęgniarek, zza katafalku wózka, wysokie „och”, które mogło paść tylko z pąsowych ust Natalii. Za drzwiami

odbywa się teraz rodzajowa scena, zetknięcie ze śmiercią, wymuszone kondolencje i brak adresata, bo wszystkim jest w gruncie rzeczy wszystko jedno. Natalia, zdyszana przeciska się do dyżurki z gratulacjami dla siostry Iwonki z powodu – bądź co bądź – awansu.

- Wy jeszcze tutaj?- początkowo zdezorientowana, szybko przybiera litościwą minę. – Ach oczywiście, czekacie na mnie. Chodźcie do mojego gabinetu – ściskają się i całują z Iwoną w policzki jak plastikowe lalki.

Natalia przywołuje nas gestem głowy i posłusznie wychodzimy za nią na mroczny korytarz z jedną świetlówką mrugającą nieregularnie i trupio, podczas gdy w oddali znika już trupa wioząca na wózku trupa. Schodzimy dwa piętra w dół, mijamy salę gimnastyczną i przechodzimy przez zawsze nieczynne prysznice do pokoiku, który zdaje się, jest gabinetem Natalii. Wygląda na to, że pomimo ulokowania jej w piwnicach, zajmuje w szeregach Instytucji dość wysokie stanowisko, jest chyba jakąś urzędniczką, a przynajmniej na taką się zgrywa. Wnętrze jest przytulne, „choć pamiętam, że wcześniej były tu szatnie. Teraz bardziej przypomina sypialnię niż jakikolwiek gabinet. W powietrzu unosi się mdlący zapach waleriany i snu. Nad niepościelonym łóżkiem wisi pocztówka z reprodukcją obrazu Eda Ruschy *Went out for cigarettes, never came back*. Na podstawie jego obrazów można by kręcić filmy. W głowie obmyślam naprędce scenariusz, aktorzy siedzą już przede mną odgrywając swoje marne role byle jak i po amatorsku. Życie. Na krześle obok łóżka piętrzą się sterty sukienek, bluzek i innych ciuchów. Natalia nie ma szafy.

- W dupie byłeś i gówno widziałeś – mówi właśnie do P., przerywając mu jakiś smętny wywód, z którego ja już wcześniej odpadłam, snując przyjemniejsze wizje. – To, że ze mną pijesz nie oznacza, że masz choćby porównywalny do mnie wgląd w te rzeczy. Zatrzymałeś się na powierzchni wydarzeń i oczywiście myślałeś, że te popijawy są tylko tym co widać: smród, rzygi i barman. A właśnie, brawo! Te wasze odwiedziny w dyżurce zrobiły na mnie wrażenie – to mówi spoglądając i na mnie z dezaprobatą.

- Siadajcie – wskazuje niedbale na dwa kuchenne taborety. Sama zagłębia się w puszystym fotelu za biurkiem. – Tam jest barek. Polejcie mi whisky.

P. stawia na biurku karafkę z rżniętego szkła, która jest chyba po prostu wazonem z odczynku, ale ma udawać wystrój z hollywoodzkich filmów.

- Mieszkasz tu? – pytam z ostatkami zaskoczenia jakie jeszcze mi zostały. – Pracujesz w szkole? Czy w *Domino*? ...co?

Natalia przeciąga się jak znudzona kotka:

- W *Domino* trzeba po prostu bywać, grać w gry wideo, rozmawiać z ludźmi i się pokazywać, wiedzieć co się dzieje i z kim się napić i dać się udokumentować na zdjęciach i uczestniczyć w wydarzeniach i imprezach. Trzeba się tam regularnie stawiać i meldować swoją obecność nie w jakiś oficjalny sposób, nie podpisując się w jakimś rejestrze obecności, tylko poprzez chociażby zamówienie drinka. System jest tak dopracowany, że słowo „załatwić” można w końcu wykreślić ze słowników. Teraz wszystko ma wymoszczone i dopasowane koleiny, po których toczy się gładko bez waszej wiedzy, ale za waszą sprawą. to jest właśnie efekt domino. Proste. Nalej mi jeszcze.

Polewają dalej, mnie też, więc wypijam szybko, żeby powstrzymać zawroty głowy, ale jest tylko gorzej. Nic już nie słyszę, więc tylko przyglądam się ich rozmowie. O czym tak gadają? O czym w ogóle można rozmawiać? Chyba, że udają i tylko ruszają ustami. Może robią to po to, żeby mnie zdenerwować. Siedzę obok nich coraz bardziej nieobecna; jak lalka otwierająca oczy, kiedy dzieci nie patrzą. Jak rekwizyt.

- Ja już stąd spadam – odzywam się odrętwiała z natłoku dziwacznych, ale jednak dość nużących wrażeń. Chciałabym się otrząsnąć z tego stanu, wyjść ze szkoły i nigdy nie wrócić. Chciałabym, żeby cały budynek zamienił się w gruz, żeby wszystko szczeło.

- P., ty przecież właściwie tu mieszkasz – kontynuuje Natalia zupełnie mnie ignorując – Twoje mieszkanie jest już w zasadzie na terenie szkoły, bo ona się przecież cały czas rozrasta.

- Twoja kuchnia też tu jest – dorzucam złośliwie, a zaraz potem robi mi się wstyd i żal, bo może jest to jakaś delikatna sprawa, cholera ich wie.

- Więc widzisz, płyniesz tak jakby drugą klasą – Natalia wypuszcza dym nosem. – Chociaż nie wiem... No, ale przynajmniej nie jesteś spod pokładu – tu patrzy na mnie, zimna suka. – Wychodzisz? Pewnie i tak zaraz wrócisz, jeżeli coś jest z tobą nie tak. Nie wiem jak to się dzieje. Winni sami tu przychodzą. Nie chcą, ale zawsze coś ich tu sprowadza.

Coraz więcej mi umyka z ich rozmowy, nie mogę się skupić. Jestem bardzo zmęczona, ale jednocześnie doskwiera mi pewnego rodzaju nadaktywność ruchowa. Siedzę na rozklekotanym taborecie przyczajona, tylko nie wiem do czego.

- Dobra, ale kto za tym stoi? – P. daje głos. - Jeżeli bym chciał na przykład napisać, złożyć skargę, albo ... to do kogo mam się z tym zwrócić?

- Gdzie ty się chowałaś przez cały ten czas? Głowa Instytucji to jest jak Bóg, czyli pewnie nie istnieje. Albo może to w końcu jest on. No, ale jest absolutnie nieosiągalna, nikt jej nie widział ani nie słyszał. Z drugiej strony coraz częściej i poważniej mówi się o innej koncepcji. Że władza ma rzekomo nie istnieć, że jest rozproszona, co paradoksalnie jest jeszcze gorsze, bo nikt za nic do końca nie odpowiada, bo nie ma przed kim. To by wiele tłumaczyło, to dlatego ta koncepcja ma tylu zwolenników. Bo jest tak, że w razie jakiegoś nieporozumienia zwracasz się do jednej osoby, która odsyła cie do kolejnej i tak dalej i wciąż lawiruje się na tym samym poziomie, na tym samym szczeblu ludzi o braku jakichkolwiek kompetencji albo mocy sprawczej.

P. siedzi z daszkiem czapki opuszczonym bardziej jeszcze niż zwykle i z miną jakby wszystko zaczynało mu się w końcu zgadzać. Widzę, że raczej nie zamierza się ze mną ruszyć, zajęty określaniem na nowo swego miejsca, tylko jeszcze nie wie dokładnie w czym. Natalia natomiast, wypełnia swoje dziwne obowiązki, choć wciąż pewnie cichaczem śni o swoich filmach i wyobraża sobie, że jest księżniczką z Hollywood'u, udając, że to nic, że właśnie tak miało być i że jest OK.

- To idę... - zaczynam znowu.

- Taaa? To do zobaczenia. – Natalia zbywa mnie skinieniem głowy, P. nawet nie patrzy w moją stronę. Widzę jeszcze jak nalewają sobie nową kolejkę i już jestem za drzwiami.

Idę szybkim krokiem przez korytarz, prawie biegnę. Dopiero teraz zauważam, że w szkole jest sporo mieszkań, które zajmują dawne sale lekcyjne, albo tylko dzielą z nimi przestrzeń. Na pierwszym piętrze jest spory ruch, mija mnie grupka dzieci i trafiam nawet na drogerię, ale jest zamknięta. Przed salą do biologii stoi młoda, bardzo wysoka dziewczyna i rozwiesza pranie. Pod rozpiętą do połowy, wymiętą koszulą widać rozległą i szpetną bliznę, biegnącą między niebywałego gabarytu biustem. Ta dziewczyna wszystko ma duże. Koło sali od muzyki łapie mnie za gardło dławiący ucisk i jestem zażenowana tym wzruszeniem. Chcę się stąd jak najszybciej wydostać, zobaczyć trochę prawdziwego światła, zapytać kogoś o godzinę i wrócić do domu. Przypomina mi się skrót przez bibliotekę, która jest ogromnym pomieszczeniem o labiryncie wysokich pod sufit półek i dwupiętrowej galerii, na którą można się dostać wspinając po drabinie, która służy też do sięgania po co wyżej ułożone książki. Ale ja nie chcę nigdzie wchodzić, chcę stąd wyjść, jest mi gorąco i niedobrze. Prawie zupełny brak okien, światła i dopływu świeżego powietrza zaczyna mi nagle coraz mocniej dokuczać. Pocę się, mam ochotę

zedrzeć z siebie ubranie i położyć na zimnej kamiennej podłodze biblioteki. Mimowolnie moją uwagę zwracają kuriozalne działy tematyczne, takie jak „Placówki oświatowe o charakterze medycznym”, „Nawigacja jednostek” czy „Ostateczne rozwiązanie kwestii pozainstytucjonalnych”. Wygląda na to, że nie jest to jednak nowy wymysł, jakaś chora reforma, czy sekta, bo książki są bardzo stare, wręcz sypią się w rękach. Nie chcę tego wiedzieć, mam dość, ale kładę się na ziemi, patrzę i spokojnie oddycham. Podłoga jest zimna i wygodna, twarda, a więc mocna, stąd nigdzie nie spadnę ani nie upadnę, bo już leżę. Staram się nie myśleć racjonalnie, po prostu tak jest, to się dzieje i ja jestem tego udziałem. Dobrze. Pokonuję złogi lenistwa, które nagromadziły się we mnie podczas tego wszystkiego, a może to jest zmęczenie? Wstaję, bez budzika, na własne życzenie. Jestem już trzeźwa i zdyscyplinowana. Sięgam po pierwszą z brzegu książkę, z działu „Teoria Instytucji” i ładuję ją sobie do torby. Pod jedną z opartych o galerię drabin, zauważam wreszcie schody prowadzące w dół, w dół, w dół, a na ich końcu są małe drzwiczki. Otwieram je, bo chcę końca, wszystko dobre, co ma koniec.

Brzytwa światła rozcina mi oczy ostrą kreską źrenic. Przez chwilę nic nie widzę, a potem tylko dużo zielonego, krzaki i lato. Jestem na jakichś najdalej wysuniętych tyłach szkoły, czy co to w ogóle jest. Twierdza. Z radości nie chce mi się nawet spać.

Przez chwilę idę bezmyślnie, aż niepodlegająca żadnej władzy bujna roślinność dyskretnie przechodzi w pojedyncze pokrzywy i rumianki, które w końcu porastają znajome torowisko i wiem, że zaraz dojdę do baru pod sosną.

Zamawiam jakieś lokalne piwo i siadam wprost na drewnianej palecie. Déjà vu. Nie lubię tego, bo mam wrażenie, że wcześniej zrobiłam coś źle i stąd ta powtórka, a teraz robię znowu robię to samo i niczego się nie nauczyłam. Powinnam powtórzyć i poprawić, ale skoro to już się dzieje i nie mam na to wpływu, to popełniam ten sam błąd kolejny raz. Czy można mieć déjà vu z déjà vu? Czy da się to zauważyć? To już musi być ostateczna porażka. Wydaje mi się, to miewam, że pewne schematy wydarzeń znam na pamięć, jak definicje z matematyki – wiem co po kolei, ale nic nie rozumiem i niczego w tym wzorze nie zmienię. Z drugiej strony jest to takie uklepywanie porażki, nieważne jakiej, ale swojej. Potwierdzanie się w czymś, bo skoro uparcie powtarzam błędy, to znaczy, że czegoś jestem pewna, choćby to była własna głupota. To trochę jak samemu trzymać się za rękę.

Nie pamiętam kiedy ostatnio spałam ani jaki jest dzień tygodnia. Moje spodenki są już trochę przybrudzone, na tyłku jest pewnie jeszcze gorzej. Wyciągam z torby książkę, którą zwinęłam z biblioteki. Jest zniszczona i pachnie tak, jak stare i pozornie używane książki w antykwariatach albo bibliotekach, których tak naprawdę nikt nigdy nie przeczytał, albo które były czytane przez ludzi, którzy już nie żyją. Antykwariaty są trochę jak sierocińce, pełne dzieci, które się nie sprawdziły, albo ktoś nie sprawdził się jako rodzic, nie pojął swojej roli, nie poradził sobie z książką. Stare pachną długim nieużywaniem, ta ich nudna historia jest zapisana w zapachu, ale jest to język niemożliwy do odczytania, za to wierci w nosie. Te czytane jednorazowo i beznamietnie, o białych kartkach, miękkich okładkach i z taniego wydawnictwa wietrzeją i w zasadzie nie mają zapachu. Nie wiadomo co z nimi będzie w przyszłości, nie mają szans na zżółknięcie i na ponowne przeczytanie. Ta, którą wzięłam z biblioteki roztacza wokół intensywną woń kurzu i kwaśnego papieru. Nie udaje mi się kichnąć. Denerwuje mnie to. Książka nosi tytuł „*Mater Institutionem*”. Kiedy na to patrzę, to mi się piwo waży w ustach, bo przypominam sobie o matce, którą zostawiłam w mieszkaniu P.

Dopijam piwo, wpijam wzrok w brudne tenisówki i wyobrażam sobie jak by to było, gdybym była kimś innym i mogła teraz zrobić coś innego i być gdzie indziej. Przenieść się w

dowolne miejsce bezruchowo i bezszelestnie. Otrzepać się z tej głupiej chwili w której się znajduję. Chłonę pachnące lasem powietrze, odgłos pracującej na zapleczu zmywarki i metaliczny szum telewizora. Prześlizgnę się tak, żeby nikt nie zauważył. Przez dach sali gimnastycznej i dziurą prosto w smołę czarnych schodów.